

# Zajdziński, Tadeusz

---

## Przez bolszewicki kraj – pod Monte Cassino : walki w 1939 r. i radziecka niewola

---

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 92-98

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Walki w 1939 r. i radziecka niewola.

24 sierpnia 1939 r. obudził mnie o świcie wielki ruch i hałas na ulicy. Mój młodszy brat Jan wpadł do pokoju mówiąc: "wstawaj, wojna!" Szybko się ubrałem i wyszedłem na rynek. Odjeżdżały ostatnie podwozy ze zmobilizowanymi znajomymi i kolegami, powołanymi do wojska. Byłem zdziwiony i przestraszony, że nie dostałem karty powołania. Poszedłem do gminy – nie wiedzą. Poszedłem na posterunek – też nie wiedzą.

Kiedy wróciłem do domu, przybiegł komendant policji z informacją, że był telefon z Sierpca, że moją kartę powołania wysłano do Rościszewa. Szybko się przygotowałem, wsiałem na rower i pojechałem do Rościszewa. Pracował tam Roman Czekański jako urzędnik w gminie. Poprosiłem go, żeby mój rower odprowadził do Bieżunia. Miałem już podwoję i pojechałem do Sierpca. Pociąg odszedł około osiemnastej.

Byłem zmobilizowany do KOP-u (Korpus Ochrony Pogranicza) do Hoszczy na wschodniej granicy Polski. W tym ostatnim tygodniu przed wybuchem wojny mieliśmy różne zajęcia w terenie, a jednocześnie przygotowania do mobilizacji następnego batalionu. Do 3 września został on całkowicie umundurowany, wyposażony w broń i sprzęt i wyruszył na front. Od stacji kolejowej w Równem było około 60 kilometrów, nie było komunikacji, a wojsko nie dysponowało własnym transportem. Trzeba było iść pieszo. Trwało to dwa dni. Załadowaliśmy się na pociągi, przejechaliśmy około 30 kilometrów i znów szliśmy pieszo na zachód.

Dni upływały szybko, droga była ciężka. Spotykaliśmy wielu uciekinierów z zachodu, którzy bardzo wystraszeni nieśli wieść o wielkich niepowodzeniach naszej armii. Wszyscy byliśmy tym przerażeni, ale pragnęliśmy jak najprędzej zetknąć się z wrogiem. Zdawało się nam, że przedstawiamy dużą siłę. Ostatecznie doszło do spotkania z naszymi, polskimi oddziałami, które się cofały. Jako nie zagrzani jeszcze w boju wyruszyliśmy tam, gdzie można było walczyć z Niemcami. Trochę się postrzelało, były i takie małe sukcesy, że braliśmy jeńców i nawet zniszczyliśmy czołgi, ale siła niemiecka była tak potężna, że musieliśmy się wycofać. Naszym dowódcą był pułkownik Węgrzyński, a jego zastępcą major Marek.

Było to za Lwowem, a armia niemiecka przygotowywała się do szturm na Lwów. Po kilku drobnych utarczkach, częściowo rozbici, straciliśmy wielu żołnierzy i pozostawiliśmy dwie armaty, bo nie było czym ich

wieźć, a brakowało amunicji i nie mogliśmy jej nigdzie uzupełnić. Dowództwo postanowiło, że będziemy się wycofywać na północny wschód, czyli w tym kierunku, z którego przyszliśmy do naszej granicy wschodniej. Niebawem dowiedzieliśmy się, że armia radziecka przekroczyła polskie granice. To jeszcze bardziej wpłynęło na nasze negatywne poczucie. Byliśmy w rozterce i ani dowódcy, ani żołnierze nie wiedzieli co robić. Po kilku dniach przedzierania się przez lasy, nie mając żywności, musieliśmy uciekać się do rekwizycji. Powodowało to nieprzychylnie nastawienie ukraińskich wiosek. Nasze zwiady przynosiły same złe wiadomości, a po kilku dniach przekonaliśmy się, że wojska radzieckie są w naszym najbliższym otoczeniu. Myśleli pewno, że ich zaatakujemy, albo że będziemy się bronili. Oddział nasz był na tyle słaby wobec armii, którą mieliśmy przed sobą, że podjęcie walki było niemożliwe. Postanowiliśmy się poddać. Nie pamiętam, jak nazywała się ta wioska. Było to na kartofliskach – kartofli jeszcze nie wykopano. Tam złożyliśmy broń. Oficerów, podchorążych i starszych podoficerów zabrano na samochody, a wojsko miało iść pieszo do punktów zbornych. Mówiono nam, że szarża jest przez Rosjan szanowana i dlatego zabierają nas samochodami. Jechałem samochodem, na którym było nas szesnastu. W czasie tej ewakuacji, na punkcie zbornym w lasach pod Korcem, gdzie zgrupowano ponad 30 000 żołnierzy, wykorzystując ogólne zamieszanie, wyskoczyłem z samochodu. Zmieszałem się z żołnierzami, przebrałem się w mundur szeregowca i oddaliłem z rejonu, na którym znajdowali się żołnierze z mojego batalionu. W tym lesie przebywaliśmy dwa dni. Była nas taka masa, że trudno było wszystkich przewieźć samochodami, a do kolei – daleko, aż do Równego lub Zdołbunowa. Dowództwo radzieckie użyło fortelu – kazało wszystkim iść do domu. Poszliśmy więc do Równego pieszo, ale żołnierze radzieccy szli kolumną samochodów i czołgów za nami i z nami. Jechaliśmy więc po trochu na samochodach i na czołgach.

Rosjanie byli do nas przychylnie nastawieni, częstowali machorką i chętnie rozmawiali. W okolicy Równego razem z kolegą Stanisławem Felburem zeszliśmy z głównej drogi, żeby kupić coś do jedzenia, ale kupić niczego nam się nie udało. Za to dowiedzieliśmy się, że Ukraińcy mordują polskich żołnierzy, którzy wracają małymi grupkami. Ukryliśmy się w stogu słomy, żeby się przespać, a nazajutrz dotarliśmy do Równego. Na ulicach w Równem – tłumy ludzi i wojska, aresztowania i rozstrzeliwania na

każdym kroku. Wszędzie krzyk i płacz. Spotkałem wóz wiozący chleb do szpitala, eskortowany przez dwóch podchorążych. Zabrałem się z nimi. Szpital mieścił się w budynku gimnazjum. Zgłosiłem się do komendanta, Polaka w stopniu pułkownika. Zameldowałem się i zostałem przyjęty w poczet chorych wraz z kolegą, z którym stale byliśmy razem. Wykapaliśmy się, dostaliśmy świeżą bieliznę, ubranie, buty z zapasów. Nakarmiono nas. Położyliśmy się do łóżek i wstaliśmy po dwunastu godzinach. Następnego dnia szpital został obstawiony radzieckimi posterunkami, które wprawdzie do szpitala wpuszczały, ale za to nie wypuszczały już nikogo. Następnego dnia ciężej chorzy samochodami, a reszta pieszo zostali wyprowadzeni na dworzec kolejowy, oczywiście pod eskortą. Były tam tłumy żołnierzy radzieckich, jeńców polskich i cywilów, całych rodzin z płaczącymi dziećmi. Przesiedzieliśmy na stacji całą noc, a o świcie załadowano nas do pociągu, ale na stacji w Zdołbunowie staliśmy ze dwa dni – kilkanaście pociągów, sami jeńcy polscy. Wagony oczywiście były towarowe i pod eskortą. Ze Zdołbunowa zawieźli nas do Szepietówki. Były to ostatnie dni września. Padały deszcze. Dawali nam gorącą wodę (“kapiatok”) a po dwóch dniach bochenek czarnego chleba na czterech. Następnie pojechaliśmy do Nowogrodu Wołyńskiego, tam posegregowano nas według specjalności, podawanych do ewidencji. Ja podałem, że mam skończone 4 klasy, nazywam się Stefan Przywitowski i jestem rolnikiem.

Trafiłem do grup, które pracowały na szosie Kijów-Lwów. Było to w okolicy Białej Cerkwi. Nigdy nie widziałem tego miasteczka, nigdy w nim nie byłem. Warunki przy budowie szosy były bardzo ciężkie. Mieszkaaliśmy w ohydnych barakach zapluskwionych i brudnych. Do roboty wychodziliśmy o 6 rano i pracowaliśmy cały dzień. Na obiad dostawaliśmy ciepłą kaszę, najczęściej jaglaną, kawałek chleba, który trzeba podzielić sobie na cały dzień. Kto tego nie umiał i zjadł wszystko na raz, był głodny. Po powrocie dostawaliśmy rzadką zupkę i czasami ziemniaki, ale tylko ci, którzy wykonali normę. Kto normy nie wykonał, otrzymywał mniejszą porcję chleba i kaszy. Jedzenia w ogóle nam nie wystarczało, stale byliśmy głodni i marzyliśmy o tym, żeby móc kiedyś najeść się do syta. W rozmowach po pracy wspominaliśmy, jak to kiedyś było dobrze. Najchętniej rozmawialiśmy o jedzeniu. Obóz, w którym siedzieliśmy, oficjalnie nazywał się jenieckim, a nie obozem pracy (byliśmy “wojennoplenni”). Ogródzony drutami, a naokoło stały warty z psami. Były też tzw. “gołębniki”, na których

stali wartownicy. Zabroniono wychodzenia z baraków po zmierzchu. Jedynie bieganie do latryny było dozwolone. Wielu chorowało na żołądek. Latryny były kopane, tzw. "oborne", dobrze oświetlone i stały tam strażę.

Wydawałoby się, że ucieczka stąd jest niemożliwa, ale mimo tego próbowaliśmy szczęścia. Zaraz w 1940 roku zrobiliśmy podkop pod naszym barakiem i wartownią, w której przebywali enkawudziści. Podkop miał ze 40 metrów. Podłogi baraków były dość wysoko, wynosiliśmy więc ziemię oberwanymi rękawami i rozsypywaliśmy ją pod podłogą. Stemplowaliśmy deskami i różnymi kawałkami drewna. Brali w tym udział tylko ludzie zaufani, ale wtedy chyba wszyscy do wszystkich mieli zaufanie. Pracowaliśmy nad tym podkopem ze trzy miesiące. W kwietniu śniegi już stopniały, zaplanowana była ucieczka. Najpierw trzeba puścić słabeuszy, ale najpierw wysłać silnego i sprytnego, który odprowadzałby tych, co się wycofali. Dwóch pierwszych wyszło dobrze, a trzeci, taki tchórzliwy, wychodząc, za wcześnie chciał wstać i poderwał plecami ziemię, która się wtedy obsunęła. Zaczął uciekać, było to przecież na zewnątrz drutów. Wartownik strzelał, ogłoszono alarm. Zrobili zbiórkę, zaczęli liczyć, stwierdzili braki i ruszył pościg z psami. Trzymali nas na podwórzu przez cały dzień i wypytywali o szczegóły. Najostrzej odnosili się do tych, którzy byli blisko wjazdu. Ja też do tej grupy należałem. Wsadzili nas do karceru. Siedzieliśmy tam około tygodnia. Kilka razy dziennie śledztwa, pisanie protokołów. Niczego nam nie udowodniono, ale od tej pory nasza setka, tzw. "setka warszawiaków" była bardziej pilnowana, dostawała gorsze roboty i gorsze jedzenie. Chłopcy znosili to dobrze. Pozostałe 4 kompanie (4 setki) od tej pory odnosiły się do nas z respektem – wodziliśmy rej w obozie.

Pracowaliśmy w kamieniołomach. Praca była bardzo ciężka, wielu wracało poturbowanych, a zdarzały się wypadki śmierci. Po pewnym czasie cały obóz zaczął się buntować. Przyjechała delegacja, właściwie komisja, mówiono, że z Moskwy. Tłumaczono nam, że pracować trzeba, bo jest wojna, że do domu i tak nas nie zwolnią. Wreszcie zaczęto robić selekcję: tych co nie chcieli iść do roboty – na lewo i grożono im, że pojedą na "białe niedźwiedzie". Pozostałych na prawo. Ale "ochotników" wyjazdu na "białe niedźwiedzie" było ponad 90%. Podzielono nas wtedy na dwie mniej więcej równe grupy. Ja trafiłem do tej zagrożonej wyjazdem na Sybir. Faktycznie wywieziono nas, ale niezbyt daleko, do innego obozu, w którym było lepsze jedzenie. Dziesięć dni nie robiliśmy nic, a następnie



dostaliśmy lżejszą pracę na drodze – tłuczenie kamieni. Pilnowali nas enkawudziści. Byli wśród nich Gruzini, Rosjanie, Ukraińcy i inni. Jeden z Gruzinów zaprzyjaźnił się ze mną i przy każdej okazji prowadził rozmowy. Było to wiosną 1941 roku. Pracy mieliśmy mało i ponieważ trawa była zwykle mokra, siedzieliśmy, a właściwie leżeli często w arfach do przesiewania tłuczni. Dowództwo szybko zorientowało się, że nie mamy tu co robić i zostaliśmy przeniesieni daleko na wschód. Tam również pracowaliśmy na drodze, ale przy pracach ziemnych. Szło nam dobrze. Komisja, która przyjechała nas sprawdzić, stwierdziła, że rowy są ładnie wykopane, obłożone darnią, a nawet ułożony napis: 1941 rok. Nie zagrzałem tu miejsca, zostałem przeniesiony do Starobielska wraz z grupą, w której mało kogo znałem.

Starobielsk, słynna kaźń jeszcze z czasów rewolucji, znana jest z wymordowania księży i kleryków. Jak krążyły pogłoski podczas tej wojny, przed naszym przybyciem było tu dużo polskich oficerów, których wywieziono w różnych kierunkach, przeważnie na północ. Opowiadała o tym miejscowa ludność. Nie wiadomo co się z nimi stało. Nie odnaleźli się nigdy. Na terenie naszego obozu był budynek tzw. Dużej Cerkwi, przy której kiedyś było seminarium duchownych prawosławnych oraz Mała Cerkiew. Ja kwaterowałem w Dużej Cerkwi. Na murze, w jednej z wnęk były jeszcze widoczne ślady pocisków po rozstrzelaniach w czasie rewolucji. W legowiskach, na których spaliśmy roło się od pluskiew. Nocami wywożono grupy jeńców w nieznanym celu i kierunku. Staralem się nie rzucać w oczy i nie wyróżniać się niczym. Jeńców było tu mnóstwo i byli to nie tylko Polacy.

Pewnej nocy obudzono mnie i wraz z innymi załadowano na dwa samochody – pojechaliśmy w nieznanym kierunku północno-wschodnim. Przez dwie doby jechaliśmy prawie bez przerwy. Siedzieliśmy na podłodze samochodu, jedni między rozstawionymi nogami drugich. Już po kilku godzinach jazdy byliśmy odrętwiali i potłuczeni, ponieważ samochód rzucał na wybojach. Po dwóch i pół dobach znaleźliśmy w pobliżu budującego się olbrzymiego lotniska. Zostaliśmy zatrzymani, a komendant transportu postawiony w kłopotliwej sytuacji. Jakiś inżynier, który kierował betonowaniem płyty lotniska, prosił o pomoc, ponieważ miał dużo rozrobionego materiału, a zbyt mało ludzi do pracy. Z jednej strony trzeba było pomóc, z drugiej – rozkaz na to nie pozwalał. Rozmowa była ożywiona,

nasycona przekleństwami i wzajemnym wygrażaniem. Rezultat był kompromisowy – zostaliśmy czasowo “wypożyczeni”, a po wykonaniu tej pracy mieliśmy być oddani i jechać dalej, do miejsca przeznaczenia – dokąd nie wiedzieliśmy, domyślać się można było tylko najgorszego. Zeskoczyliśmy z samochodów. Rozdano szufle i taczki. Wziąłem łopatę, zakręciłem się koło taczek, ale taczek nie wziąłem. Zmieszałem się z nieznanymi robotnikami i zacząłem się oddalać. Ludzie byli tam różni, w przewadze ludzie radzieccy różnych narodowości. Oddalałem się z grupą idących do roboty, potem szedłem już sam, dalej i byle dalej. Bałem się nawet oglądać, a w razie zagrożenia symulowałem pracę. Po godzinie czy półtorej byłem już bardzo daleko od mojej grupy, a o to mi przecież chodziło. Przyłączyłem się do pracujących Polaków, którzy przyjęli mnie chętnie i bez zdziwienia. Kierownik zapisał mnie na stan, a więc stałem się “uprawnomożniony”. Przysłuchiwałem się o czym mówią, nie odzywając się bez potrzeby. Usłyszałem, że kilkakrotnie mówiono o wojsku polskim, o porozumieniu rządu polskiego z rządem radzieckim, ale były to tylko domniemania, ponieważ Niemcy nie napadły jeszcze na ZSRR. Czuło się w powietrzu, że niedługo dojdzie do starcia. Opowiadano, że Niemcy nie wykonują swoich zobowiązań, że źle odnoszą się do obywateli radzieckich z obsługi pociągów, które jeździły na stronę niemiecką. Kolejarze przywozili wiadomości, że Niemcy prawie otwarcie szykują się do wojny ze Związkiem Radzieckim. Nie wszyscy w to wierzyli. Władze radzieckie dementowały te pogłoski, ale wersji o zbliżającym się konflikcie było coraz więcej.

Ku naszej radości wojna wybuchła. Oficjalne komunikaty mówiły, że Niemcy napadły na Związek Radziecki. Przyszedł do nas politruk i poinformował, że teraz Polacy i Rosjanie są sprzymierzeńcami. Dało się to w praktyce odczuć – jeść dawano więcej, a przy robotach tak już nie goniono. W gazecie napisano, że rząd polski gen. Władysława Sikorskiego i rząd radziecki nawiązują porozumienie. Można było sobie wyobrazić naszą radość. Ci, którzy byli dla nas aroganccy i niedobrzy, stali się raptem grzeczni i “przyjaźni”. W lipcu (dokładnej daty nie pamiętam) ogłoszono, że powstaje wojsko polskie i że Polacy będą wkrótce mogli zorganizować się w swoich jednostkach wojskowych. W sierpniu dowiedzieliśmy się, że polska jednostka organizuje się w Starobielsku. Orientowałem się gdzie jest Starobielsk, bo przecież stamtąd przyjechałem. Drogi jednak nie zapa-

miętałem, bo samochody, którymi jechaliśmy były kryte ijechały prze-  
ważnie nocą. Postanowiłem jednak dostać się tam jak najprędzej. Zebra-  
łem grupę tych, którzy wydawali mi się pewni i zwiailśmy z roboty, nie  
czekając na dalszy rozwój wypadków.

Do Starobielska mogło być około 300 kilometrów, może nawet dalej.  
Należało udać się na południowy-zachód. Zdoylem mapkę z gazety i od  
różnych ludzi zebrałem wiadomości o trasie. Ruszyliśmy w drogę. Pierw-  
szej nocy przeszliśmy dużo, chcieliśmy bowiem odskoczyć jak najdalej,  
a poza tym częściowo znany nam był ten odcinek drogi – w związku  
z pracą poruszaliśmy się nieraz w pobliskim terenie. Najcenniejsze infor-  
macje o trasie zdobyliśmy od kierowców ciężarówek. Szliśmy około dwóch  
tygodni, pokonując wiele przeszkód. Unikaliśmy wiosek i większych osie-  
dli. Mieliśmy co prawda nazbierane trochę prowiantu w obozie, ale to nie  
wystarczyło. Wybieraliśmy więc zabudowania na uboczu, gdzie nie było  
możliwości zaalarmowania radzieckich posterunków. Nie zawsze ludzie,  
których spotykaliśmy byli nam przychylni. Przez duże miasta przechodzi-  
liśmy korzystając z zamieszania, jakie tam zwykle panowało. Legitymują-  
cym nas oświadczaaliśmy, że idziemy do polskiego wojska i to pomagało.  
Nigdzie nie zostaliśmy na dłużej zatrzymani. Były jednak okoliczności, kie-  
dy musieliśmy oświadczać, że idziemy wcielić się do Czerwonej Armii.

Do Starobielska dotarliśmy skrajnie zmęczeni z poobcieranymi noga-  
mi, głodni, zarośnięci i brudni, ale radośni – polska armia była tuż-tuż.

## **W Armii Polskiej na Wschodzie.**

Przy bramie na warcie obozu w Starobielsku stał radziecki “bojec”,  
którego znałem z poprzedniego pobytu. Przeżywaaliśmy go “Ignac”, a on  
się strasznie złościł z tego powodu, bo nie wiedział co to znaczy. Mimo to  
zawołałem odruchowo na powitanie: “Ignac”! a on nie obraził się, roze-  
śmiał się i powiedział, że teraz już nie pilnuje Polaków, tylko stoi dla por-  
ządku. Spotkanie z tym wartownikiem było prawie serdeczne. Było tu już  
bardzo dużo naszego wojska. 15 baraków, Duża i Mała Cerkiew były peł-  
ne. Stale przybywali nowi. Zapewne było 10 000 ludzi, a może i więcej.  
Na dziedzińcu panował taki tłok, że trudno się precyzyjnie odchodziły już  
pierwsze transporty na wschód.